

Dariusz Pawlicki

O kulturze nieupaństwowionej & obywatelu w kulturze

*Pamięci Anny z Rynkiewiczów
Herbszt / Herbst –
malarki, poetki i mojej Babci*

I

Henryk Elzenberg twierdził, że „społeczeństwo uznaje tylko niewolników i władców; władców, którzy jemu narzucają treści i formy, i niewolników, którym ono je narzuca. Nie uznaje człowieka samodzielnego, który nie ma siły być władcą, a nie godzi się być niewolnikiem” (*Kłopot z istnieniem*). I jeśli nawet uznać, że Elzenbergowski pogląd jest uproszczony i skrajny: mówi o władcach i niewolnikach, to jednak napomyka o człowieku samodzielnym, za którym zdecydowanie się opowiadam. A ponieważ kultura w życiu *Homo* jakoby *sapiens* winna być – moim zdaniem – tuż za łykiem wody i kromką razowca, więc będę starał się wzmocnić obecność w niej tego, którego odtąd będę nazywał człowiekiem samodzielnym, albo obywatelem nieupaństwowionym. Z założenia stojącym w pewnej kontrze wobec państwa: sprzeciwiającym się jego nadobecnoci, lecz nie jemu, jako takiemu – jest ono bowiem emanacją społeczeństwa / narodu, jego swoistym wytworem.

Na temat państwa, owego władcy, z którym współczesny człowiek coraz częściej ma do czynienia, ks. Czesław Bartnik sformułował taki oto zdecydowany pogląd:

Należy zauważyć, że od późnego średnio-wiecza rozwija się coraz mocniej szatański dogmat, że państwo ma prerogatywy boskie, a nawet, że jest w ogóle Absolutem, bogiem (Hegel, Marks, materialści, skrajni liberałowie).

Natomiast Andrzej Strumiłło, konfrontując państwo z kulturą, napisał, że „największym wrogiem państwa jest życie duchowe jego obywateli” (*Factum Est*). Zdanie to odczytane wspak, kryje i takie znaczenie: życia duchowego obywateli największym wrogiem jest państwo. I właśnie mój sprzeciw wobec tego, co kryje się za obu tymi odczytaniem, chcę zaprezentować w tym eseju.

Marc Fumaroli, jakby w uzupełnieniu powyższych poglądów, wspominał, że „kultura to innymi słowy – propaganda” (*Państwo kulturalne, religia nowoczesności*). Ale jego wypowiedź odnosi się do procesu upaństwowiania kultury, który odbywa się na naszych oczach (także w naszych uszach). Fumaroli opisuje je na przykładzie Francji, w której państwo wykorzystując ogromne fundusze, wywiera przemożny wpływ na kulturę (jak chyba

nigdzie indziej obecnie, a porównywalnie z tym, co miało miejsce w krajach tzw. bloku wschodniego). Efektem tego, paradoksalnie, jest uwiad kultury. Gdyż decydujący wpływ na nią ma grupa aktualnie sprawująca władzę (i nie chodzi tylko o partie polityczne). Nie ma więc mowy o dbaniu o kulturę, jako całość. Gdyż na wsparcie może liczyć jedynie to, co – zdaniem decydentów – ma szansę trafić do jak największej liczby odbiorców (wyborców). To znaczy, te przejawy kultury, które są najbardziej uśrednione: najłatwiejsze w odbiorze, lekko strawne intelektualnie. Jak też te, najbardziej odpowiadające ze względów ideologicznych.

W minionych wiekach tylko niektóre państwa, i to jedynie w pewnym zakresie, prowadziły politykę kulturalną. Nie było więc mrowia urzędników od kultury: zawiadujących nią i z niej żyjących. A kultura, mimo tego istniała. I często miała się dobrze, a niekiedy wręcz bardzo dobrze (lista tego przykładów zdaje się nie mieć końca). Współcześnie prowadzenie tej polityki jest czymś powszechnym. Zaś zjawisku coraz intensywniejszego upaństwowiania kultury, towarzyszy zwiększająca się proporcjonalnie liczba stosownych instytucji, a tym samym urzędników od kultury (uzależnionych od tegoż państwa). Nie towarzyszy temu większa liczba dzieł. Co to, to nie...

Niezmiernie często mówiąc o kulturze ma się na myśli jedynie rozrywkę. A jej celem jest, tylko i wyłącznie, zabawienie odbiorców. Tak się, niestety, składa, że w otepianie umysłów, taką czy inną formą zabawy, angażuje się także państwo, choć można by oczekiwać od niego, jeśli już, to czegoś zdecydowanie innego. Wystarczy bowiem w zupełności, że prywatny przemysł rozrywkowy, dysponujący wielkimi, coraz większymi funduszami, zapewnią nieograniczoną zabawę; czerpiąc z tej działalności wielkie zyski. I licząc na jeszcze większe.

Proces uzabawiania kultury może doprowadzić do upowszechnienia (się) tego, co Marc Fumaroli dostrzegł w Las Vegas, stolicy amerykańskiej rozrywki:

Ze wszystkiego, co ludzkość wynalazła, ze wszystkiego, o czym marzyła, ze wszystkiego, co odkryła, z religii i poezji, sztuki i muzyki, tutaj pozostaje tylko zestaw szablonów wprawianych w ruch przez maszynę do zabawiania („Państwo kulturalne”).

Działajmy na rzecz kultury, za której podstawową funkcję Zbigniew Herbert uważał „budowanie wartości, dla których warto żyć”. Aby nie stało się to, co Abraham J. Heschel tak podsumował:

Pracowaliśmy nad doskonaleniem silników, a dopuściliśmy do tego, że nasze życie wewnętrzne stało się wrakiem („Człowiek szukający Boga”).

Aż takim pesymistą, to jednak nie jestem. Uważam bowiem, że wciąż są szanse na to, aby smoliście czarne scenariusze autorstwa Fumaroliego i Heschela nie doczekały „realizacji”. Rzecz jednak w tym, aby nie poprzestać na stwierdzeniu istnienia szans (choć i to, jako punkt wyjścia, jest ważne). Ale w tym, aby podjąć działania. I zacząć od siebie, bez oglądania się na innych, bez szukania aprobaty i zachęty z ich strony.

Elżbieta Wolicka w eseju „Święty obraz – objawienie czy opowieść?”, napisała, że „kultura łaćńska to przede wszystkim kultura słowa”. A słowo jest dla mnie ważne, gdyż: 1) przynależę do tej właśnie kultury; 2) jestem eseistą i poetą, 3) wiedzę o dookólnym świecie dostarczają mi teksty napisane przez innych. Na dodatek, bliski jest mi pogląd Neila Postmana, że „słowo (głównie typograficzne) z natury wiąże się z rozumem, jest nośnikiem idei, angażuje intelekt, podczas gdy obraz – tak jak rozrywka – przemawia do uczuć, emocji, jest bezrozumny” (myśl N. P. wyrażona przez Józefa Majewskiego w *Religii, mediach, mitologii*).

Przeciwieństwem kultury upaństwowionej, rozwijającej się wybiórczo, jest to, co mają do zaoferowania wolni obywatele. A z racji swej liczby mogą zaoferować wielość postaw, zainteresowań i twórczych możliwości. Efektem tego może być – potencjalnie – różnorodność i mnogość dzieł.

Jeśli ktoś jest obywatelem nieupaństwowionym, to nie organom państwa, ale sobie pozostawia szerokie pole działania. A gdy państwo na to nie przystaje – w ostateczności – wykazuje się Obywatelskim Nieposłuszeństwem. W tym wypadku na polu kultury.

Istotne jest też to, że gdyby zabrakło woli dbania o kulturę (także tę narodową) ze strony elity kraju (czy byłaby to jeszcze elita?), społeczeństwo złożone z ludzi samodzielnych, mogłoby tę lukę z powodzeniem wypełnić. W razie braku takowych, a domino-wania postawy charakteryzującej się oczekiwaniem działań wyłącznie ze strony państwa,